

Zdjęcie bocianów ze Sztynortu trzymam w domu

— Piękny pałac, cudowne otoczenie, ale także bardzo interesująca historia ludzi. Dlatego należy ratować Sztynort — mówi Marie-Luise Niewodniczański, wdowa po słynnym polskim kolekcjonerze.

Stanisław Brzozowski
s.brzozowski@gazetaolsztynska.pl

— Jak się pani podobał Sztynort?

— Bardzo. Oglądałam dokładnie nie tylko pałac, cudowne jest także jego otoczenie: pagórki, jeziora, żaglówki w porcie. Kiedy byłam tam po raz pierwszy, miesiąc temu, jeszcze były bociany w gnieździe na dachu pałacu. Zrobiłam zdjęcie i mam je teraz w domu. Ale bardzo interesująca jest też historia ludzi, którzy w Sztynorcie mieszkali... — ...von Lehnendorffów. Książka opisująca historię życia i miłości ostatniego z nich, uczestnika zamachu na Hitlera, Heinricha von Lehnendorffa i jego żony Gottliebe, rok temu była w Niemczech przebojem. — Czytam ją już po raz drugi. Trzeba zrobić wszystko, żeby tę książkę przetłumaczyć także na polski. To jest przede wszystkim historia rodziny Lehnendorffów, ale wiele dowiedziałam się też w ogóle o Niemczech. Nie wiedziałam na przykład, że zamachów na Hitlera było aż tyle. Wcześniej nie interesowałam się tym tak bardzo, to mój mąż był encyklopedią, jeśli chodzi o historię.

— Czy Tomasz Niewodniczański pochwaliby, że angażuje się pani teraz w odbudowę Sztynortu?

— Zawsze mówił, że jestem wariatką.

— Czy dlatego, że to pani zaraziła go pasją kolekcjonerstwa? Jeszcze jak państwo mieszkali w Warszawie, to pani kupiła mu pierwszy cenny sztych.

— Ten sztych z widokiem Damaszku ciągle wisi u mnie w mieszkaniu. Zarobiłam wtedy pierwsze większe pieniądze za tłumaczenie i większość wydałam właśnie na ten sztych. Mąż nie był z tego zbyt zadowolony. Sztych wisił jednak na ścianie i nawet zwrócił na niego uwagę pewien nasz znajomy. „A ja wiem, gdzie można kupić cały atlas ze starymi mapami”, powiedział... Mąż oczywiście się zaraz tym atlasem zainteresował. Ale zbierał nie tylko stare mapy i ryciny, także związane z Polską rękopisy i dokumenty. Wiele z nich można teraz oglądać na wystawie w Zamku Królewskim.

— Znana jest historia notatnika Adama Mickiewicza skradzionego pani mężowi. Po latach

poszukiwań mąż dotarł do złodziei i odkupił cenny rękopis.

— Jeszcze teraz dreszcz mnie przechodzi na wspomnienie tej historii. I mnie kosztowała ona parę siwych włosów.

— Czy, jeszcze mieszkając w Polsce, przyjeżdżała pani z mężem na Mazury?

— Oczywiście, że przyjeżdżaliśmy, to było jeszcze za Gomułki. Ale mieliśmy wtedy dwoje, a potem nawet troje małych dzieci i nie było nam w głowie zwiedzanie. Mąż starał się zresztą rozbijać nasz namiot w takich miejscach, żeby wokół nie było widać żadnego innego. Wtedy to było jeszcze możliwe. Pamiętam, że dotarliśmy aż do Augustowa. Ale w Olsztynie też byliśmy, pamiętam zamek.

— Czy wie pani, że pani mąż miał związki z Olsztynem? Jego dziadek ze strony matki zootechnik profesor Roman Prawocheński przyczynił się do powstania w Olsztynie uczelni rolniczej i ma nawet ulicę w uniwersyteckim miasteczku.

— Czy to prawda? Zupełnie o tym nie wiedziałam! Nasz syn ma

na imię Roman, właśnie na cześć profesora Prawocheńskiego. Profesor Prawocheński znalazł się w grupie krakowskich profesorów, których Niemcy wywieźli do obozu w Sachsenhausen pod Berlinem. (W tzw. sonderaktion Krakau, 6 listopada 1939 Niemcy wezwali na uniwersytet i podstępnie aresztowali 183 osoby, w lutym 1940 roku, po interwencji Włochów większość profesorów zwolniono — red.). Roman Prawocheński, który przeżył obóz, zostawił bardzo dokładne wspomnienia. Kiedy kilka miesięcy temu byłam w Berlinie na spotkaniu prezydentów Niemiec i Polski, pojechałam rowerem do Sachsenhausen. Widziałam wiele tablic upamiętniających więźniów, wiele polskich nazwisk, zwłaszcza księży. Trzeba zrobić wszystko, żeby stanęła w tym miejscu także tablica poświęcona tym krakowskim profesorom, którzy w Sachsenhausen zginęli.

— W jednym z ostatnich wywiadów Tomasz Niewodniczański mówił, że kolekcjoner musi mieć pieniądze, ale



Marie-Luise Niewodniczański z zarządu Niemiecko-Polskiej Fundacji Ochrony Zabytków w tym tygodniu odwiedziła Olsztyn: — Najważniejsze to dobre przygotowanie wniosku o dofinansowanie na ratowanie pałacu w Sztynorcie
Fot. Wojciech Benedyktowicz

ważniejszy jest upór.

— O tak. On jak sobie upatrzył jakąś mapę czy rękopis, to nigdy nie zaprzestawał starań. I wszystko wiedział o samym zabytku, czy to jedyny egzemplarz, czy są jakieś inne. Miał też wiedzę o jego poprzednich właścicielach; kto był czyją babką i tak dalej. Był fizykiem, ale również dobrze mógłby się zajmować naukowo historią.

— Żeby odbudować pałac w Sztynorcie, ważniejsze są pieniądze czy upór?

— I jedno i drugie. Bardzo się cieszymy, że działania Niemiecko-Polskiej Fundacji Ochrony Zabytków, w której zarządzie jestem, wsparło polskie Ministerstwo Kultury.

Przyznane przez nie ostatnio 200 tysięcy złotych pójdzie na ratowanie dachu pałacu, roboty zaczną się już 15 września. To, że także polska strona angażuje się w odbudowę Sztynortu, jest bardzo dobrze odbierane w Niemczech, będzie więcej możliwości zdobywania pieniędzy. Warto byłoby jeszcze zainteresować Sztynortem także bogatych Polaków. Ale najważniejsze to dobre przygotowanie wniosku o dofinansowanie, który w przyszłym roku mamy zamiar złożyć do norweskiego funduszu. Do prac projektowych zaangażowaliśmy najlepszego w Niemczech architekta od ratowania starych zamków.

Z Wilna przez Kraków do Niemiec

Marie-Luise Niewodniczański z zarządu Niemiecko-Polskiej Fundacji Zabytków jest wdową po Tomaszu Niewodniczańskim (1933-2010) kolekcjonerze, fizyku, menedżerze. Tomasz Niewodniczański urodził się w Wilnie, skończył fizykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, studiował też w Zurychu. W Szwajcarii poznał i ożenił się z Marią-Luise Simon. Do 1970 roku mieszkali razem w Polsce. Niewodniczański pracował wtedy w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku. Po wyjeździe do Niemiec krótko pracował jako fizyk, potem został menedżerem należącego do rodziny żony browaru Bittburger. Zarobione pieniądze przeznaczył na realizację swojej kolekcjonerskiej pasji. Jeszcze za życia przekazywał cenne mapy i związane z Polską archiwalia m.in. Ossolineum we Wrocławiu. Główna część kolekcji, zgodnie z jego ostatnią wolą, przekazana została w ubiegłym roku Niemiecko-Polskiej Fundacji Ochrony Zabytków i oddana jako wieczny depozyt do Zamku Królewskiego w Warszawie.



Pałac w Sztynorcie woła o ratunek. Fot. Anna Stryczak